

E. FEYDEAU.

# MOJA SPOWIEDŹ

7) Powieść z francuskiego

LV.

Scena ta, której nie mogę analizować, gdyż wszelkie uczucia rozplamieniają się we mnie i burzą, gdy sobie przypomnę, jak mnie zmieszala, scena ta, w której ojciec mój okazał się tak szczytnym, tak daleko przewidującym, a w której ja grałem tak nędzną rolę, sprawiła to, iż poczułem w sobie nienawiść ku hrabinie.

Po raz pierwszy od czasu, jak istniał nasz związek, upatrzyłem w niej przyczynę ułudy mej reputacji, zmarnowania przyszłości, ruiny i poniżenia, a przede wszystkim przyczynę głębokiego zmartwienia mego o ca. Teraz pomiędzy mną, a środkami ku zrehabilitowaniu się, jakichbym próbował, hrabina stała jako największa przeszkoda.

I rzeczywiście nie tylko zabrała mi ona życie, ale zabrała mi wszystkie myśli. Do czegoż byłem zdolny, przy tej niespokojności, jaką napełniała mi serce? Czemże poważnem mogłem się zająć od czasu, jak przyzwyczaiła mnie do próżniaczego życia? Dzięki jej doznawałem największej gorczy, jaka może opanować duszę człowieka: straciłem wiarę w samego siebie.

Jednak należało być posłusznym ojcu. Nie miałem pojęcia nawet o ważności tego, do czego zobowiązałem się i nie domyślałem się, jak trudno mi będzie dotrzymać przyrzeczenia danego mu.

Oddawna już rozmyślałem nad napisaniem poważnego dzieła o niektórych, bardzo spornych faktach z dziejów rewolucji francuskiej. Kilka miesięcy poszukiwałem w archiwach i rok pracy mogłoby wystarczyć na to.

Bezwzględnie więc zacząłem szukać wydawcy. Znalazłem go. Objaśniłem mój plan. Podobał mu się, chociaż był tak liberalny, iż odjąłby odwagę najśmielszemu. Dzięki pewnemu rodzajowi wziętości, jaką nabyłem w uniwersytecie, wydawca dawał mi tysiąc dwieście franków za rękopis.

Wyszedłem od niego zrozpaczony. Tysiąc dwieście franków! Suma, którą wydawałem w piętnastu dniach! I czekać na nią ośmnaście miesięcy!

A jak żyć tymczasem?

Przyłem nie łudziłem się, iż w stanie, w jakim znajdowałem się, nie byłem zdolny do wytrwałej pracy. Muza historii jest nie mniej od swych sióstr zazdrosna. Nie poddaje się ona wyrachowaniom, narzucanym sobie. Trzeba albo nie kochać, albo kochać ją tylko, aby raczyła okazać swą przychylność.

Natenczas wziąłem się do tego, do czego oddawna wziąć się należało — do oszczędności. Pozbyłem się konia, kabrioletu, służącego. Lokal, który zajmowałem, był drogi. Lubilem go strajać, gdyż bywała u mnie hrabina. Jakim tu sposobem wynieść się, wynająć pomieszkowanie skromniejsze, niż wyznajac jej prawdy? Obawiałem się, że zacząłby mną pogardzać, gdy się o niej dowie. Dlaczego człowiek rumieni się, że jest ubogim? Zdawało mi się niedelikatnem dać jej poznać, że była niejako pośrednią sprawczynią mego ubóstwa.

A jednak trzeba było zdecydować się. Długo się do tego przygotowywałem. Nakoniec: jednego dnia powiedziałem jej, że doznałem pewnych przewrotów fortuny, dodając do tego bardzo głuپیо, iż zdarzyć się to może najmańszemu.

Na nieszczęście pani Chalis była rozrągnięta. Zaledwie mnie słuchała i tylko kilka obojętnych słów odrzekła na to. Zdawało się, jakby żalowała, iż zmuszony jestem opuścić moje pomieszkowanie. Powiedziała, że klęska majątkowa, jakiej doznałem, zapewne jakoś da się naprawić, że spodziewa się, iż to się wszystko jakoś ułoży z czasem.

Później dopiero dowiedziałem się, iż właśnie w tym dniu mocno była zaniepokojoną klejnotami, które zamówiła telegrafem u jubilerza Castellane w Rzymie. Miała dziś się ukazać w tych klejnotach i... nie nadeszły.

LVI.

Nie bez trudności znalazłem pomieszkowanie, jakiego mi trzeba było, a nie drogie. Urządziłem je tak wykwintnie, jak tylko mogłem.

Hrabina krzyknęła z przerażenia, ujrawszy je po raz pierwszy. Zauważyła, że jest niskie i ciemne.

Od czasu przeniesienia się mego do tego nowego lokalu, rozpoczyna się najboleśniejszy okres mego życia. Składało się ono z nędzy ukrywanej i pracy olbrzymiej. Nie chciałem nic brać od ojca i postanowiłem dotrzymać mu słowa.

Napróżno starałem się o pozwolenie na odczyty o Swetieniuszu i o Tacycie — odmówiono mi zupełnie, nawet z goryczą. Aby wyżyć, i to bardzo nędźnie, połowę nocy spędzałem na robieniu korekt w jednej drukarni, a większą część dnia na pisaniu artykułów, nędźnie płatnych, do jednego przeglądu. Wszystko to przynosiło mi około trzechset franków miesięcznie. Ta kwota była wprawdzie dostateczną dla mnie, ale już nie mogłem brać udziału w zabawach i rozrywkach hrabiny. Zaledwie miałem tyle czasu, by ją odwiedzić. Aby próżniaczyć na przechadzkach, w teatrach, w towarzystwie — o tem nawet myśleć nie mogłem.

Gdybym nie był zmuszony ukrywać tak stannie ubóstwo, jak jaki czyn hańbiący, łatwoby mi było znaleźć jaki uczciwy obowiązek. Mogłem zostać nauczycielem w jakim bogatym domu, ale obawiałem się efektu, jakoby taka moja podrzędna posada mogła sprawić na hrabinie.

Większą część zarobionych pieniędzy obracałem na wykwintne utrzymanie mego pomieszkowania, aby przyjmować w niem hrabinę — i na porządne ubranie.

Nadeszło lato. Pani Chalis pojechała do Baden. Ja nie mogłem tam za nią podążać. Pisywałem długie, melancholijne i napięte listy. Nie czytała ich. Poznałem to z jej odpowiedzi. Tęskniłem za nią, upadałem na duchu, ale miłość moja nie zmniejszała się.

Wtem, jednego dnia, drukarnia, w której pracowałem, zbankrutowała i została zamknięta. Przegląd płacił mi coraz gorzej.

Nadeszła jesień. Nie miałem odwagi stanąć przed ojcem. Nie pojechałem do Nantes. Bieda podnosiła się koło mnie, jak przyływ morza. Bywały dni, w których musiałem niektóre książki sprzedawać, by mieć za co zjeść obiad.

LVII.

Nastąpiła zima. Byłem na samem dnie otchłani nędzy. Ale z bretońskim uporem nie prosiłem niczyjej łaski i hrabina nie domyślała się niczego. Coraz rzadziej spotykając mnie w towarzystwach, prawie nie widując u siebie, sądziła, że powoli usuwam się od niej, robiąc to przy zwoicie. Było to jej na rękę.

Z moich cierpień, z mego straszliwego niedostatku nic na jaw nie wychodziło. Wszystko ukrywałem przed nią.

A jednak pewnego dnia dowiedziała się o całej prawdzie w sposób zupełnie niespodziewany.

Jeden z moich szkolnych towarzyszy baron Montessart którego niekiedy spotykałem następnie w salonach, w czasach, kiedy sam jeszcze w nich bywałem, powróciwszy do Paryża po roku niebytności, spędzonym na zwiedzaniu Indyl i Chin, zamierzył ogłosić z ukielem wspomnienia ze swej podróży i ułożył się w tej sprawie z drukarnią, w której pracowałem.

Pewnego dnia przybył on tam z pierwszemi odbitkami i oświadczył, iż chce rozmówić się z korektorem.

Zaprowadzono go do małej izdebki, gdzie właśnie siedziałem, w bluzie, z palcami atramentem powalzanymi. Ponieważ nie uprzedzono mnie, nie mogłem więc umknąć, a słysząc, jak otwierają się drzwi, machinalnie podniosłem głowę.

Poznaliśmy się odrazu i baron wykrzyknął zdziwiony:

- Tyżeś to?
- Jak widzisz.
- Jakże się stało, żeś doszedł do tego?
- Straciłem wszystko, com miał.
- Ależ... twoja profesorska posada?
- Miałem pewne nieporozumienia z ministrem i wziąłem dymisy.

Baron nie mógł przyjść do siebie ze zdziwienia.

— Słuchajno — powiedział, siadając na brzegu stołu, gdyż w izdebce było tylko jedno nadłamanie krzesło — nie mówisz mi wszystkiego,

mój kochany. Pojąć tego nie mogę, że przy twoich zdolnościach, przy reputacji, jaką sobie wyrobiłeś, mając tyle przyjaciół, po opuszczeniu uniwersytetu nie znalazłeś dla siebie stanowiska bardziej odpowiedniego twojej wartości.

— Czyż są gdzie przyjaciele? — odpowiedziałem.

— Rozumie się.

I pocciwy chłopiec ofiarował mi swą pomoc.

— Dziękuję ci — odrzekłem.

Byłem w strasznej potrzebie; ale pamiętałem, com przyrzekł memu ojcu.

Praca moja wystarcza mi na życie — dodałem.

Czy baron przypuszczał, iż popełniłem coś bardzo nieuczciwego i z konieczności musiałem się urywać w cieniu — tego nie wiem. Przestał nalegać na mnie, a gdy go prosił, by nie rozgłaszać smutnych warunków położenia mego, zdawał się uznawać słuszność mego żądania, iż pragnę być zapomnianym przez towarzystwo paryskie.

Dzieło barona zostało wydrukowane i straciłem go z oczu, zapomniawszy prawie o naszym spotkaniu.

Ale w połowie zimy baron, przedstawiony hrabinie Chalis, raz znajdując się w jej domu, usłyszał moje nazwisko. Było wtedy około dziesięć osób w salonie. Naturalnie, że baron pospieszył dowiadywać się, co się dzieje z biednym chłopcem. Począł go wypytywać i zapomniawszy o swem przyrzeczeniu, opowiedział wszystko, co wiedział o mnie.

LVIII.

Można sobie wyobrazić, jak wszyscy byli zdumieni, słuchając opowiadania barona Montessart. Pani Chalis, pomimo, iż umiała doskonale panować nad sobą, omal nie zemdlą.

Postanowiła copędzej rozpatrzyć i wyjaśnić to wszystko, gdyż nie mogła nawet przypuszczać by była kochanką rzemieślnika.

Właśnie tego samego dnia miała być u mnie. Przypominam sobie, iż czekałem na nią, smutnie spoglądając po mojem mieszkaniu i wyszukując, co mógłbym jeszcze sprzedać z moich ruchomości, aby dostać choć dziesięć franków.

Gdy hrabina weszła i znalazła mię w pokoju prawie porządnym, przed dobrym ogniem na kominku, ubranego, choć nie podług ostatniej mody, ale bardzo przyzwoicie, sądziła, że ją zmistyfikowano i poczęła się śmiać. Połem, chcąc bym podzielił jej wesołość, opowiedziała mi całą historję.

Ale moja odwaga była już ostatecznie wyczerpana. Zrazu przeraziła mnie ta myśl, że hrabina wie o wszystkim, w końcu zrezygnowałem, przenosząc wszystko inne nad marne istnienie, jakie wiodłem od kilku dni. Czułem się tak nieszczęśliwym, iż śmierć zdawałaby mi się wyzwoleniem, gdybym nie był przywiązany do życia samą nicią mojej miłości.

Podczas gdy hrabina mówiła, poczęłem zwołać odwracać głowę, potem, ponieważ od wybuchów jej śmiechu źle mi się zrobiło, łzy mi stały w oczach.

Dostrzegając to i nagle, zmieniając ton, zawołała:

— Jaki? byłoby to prawdą?

— Niestety!

— Ale jakże się to wszystko stało?

— Sam nie wiem. Nie mam nic, nie mam sposobu do życia!

Słabo mi się zrobiło. Schwyciła mię za rękę i zapytała:

— Co to wszystko znaczy?

— Znaczy to, że drukarnia, w której pracowałem, zamknięta jest od miesiąca i...

— Kończ pan!

— I od dwóch dni nic nie jadłem.

LIX.

Obojgu nam przerażenie odjęło mowę. Ale ona!.. O! takie kobiety, to jak królowie, zdaleka błyszczą, zachwycają, ale nie trzeba przypatrywać się z bliska!.. Hrabina zaraz się opamiętała.

— To nie prawda! — zawołała. — To być nie może! Pan kłamiesz... nie wiem dlaczego.

Te meble warte są dwa tysiące franków. Gdybyś pan był w takiej potrzebie, jak mówisz, to dawno już sprzedałbyś je!

— Czyż mogłem to zrobić? — odrzekłem. —

I tak przychodziłaś tu pani ze wstętem. Czyż przyszłabyś do jakiej nory? Dla pani to, byś pani miała dokoła kwiaty, dobry ogień, wygodę.